Nr. 6. Kraków, w czerwcu 1904 r. Rok V.

Przodownica

Pismo dla kobiet

wychodzi w drugą niedzielę każdego miesiąca.

Prenumerata wynosi:

rocznie . . . . 1 kor.	zagranicą . . . 1 marka
półrocznie . . . 50 hal.	pojedynczy numer 10 gr.

Adres Redakcyi: Szpitalna 7, II. p.



Chleb królewski.

(Do obrazka p. t. „Pokój toruński“ zamieszczonego zamieszczonego w poprzednim numerze).

Prawym brzegiem Wisły, traktem od Dobrzynia ku Toruniowi, posuwał się orszak jezdnych; z liczby ludzi, uzbrojenia, a szczególniej z ogromnej ilości wozów ładownych i koni jucznych, ciągnących o kilkaset kroków za orszakiem, znać było, że w nim znajduje się jakaś dostojna osoba w daleką i długą jadąca drogę.

Ze środka też orszaku wysuwał się często jezdny roznosząc rozkazy, które z niezwykłą gorliwością spełniano.

I teraz oto wysunął się jeden jezdny na prawo, drugi na lewo, rzekł coś do najbliżej jadącego, a ten głośno zawołał:

— Cofnąć się całem skrzydłem!

Zaraz też poczęto ściągać konie; powoli z jednego i drugiego boku cofać się zaczęto, a po chwili środkiem drogi jechało już tylko trzech wspaniałej postawy, a znać wysokiego urzędu panów.

Mogli oni teraz łatwo spojrzeć na obszerne równiny, rozciągające się po obu stronach traktu.

— A toć że po tych ziemiach wilki chyba mają swoje legowiska — chybać że tu ani źdźbło zboża w tym roku nie rosło! — rzekł jeden z jadących, którego, choć nie świecił zbytkiem stroju ani bogactwem rynsztunku, miano jednak w największem poważaniu.

— Gorzej to niż wilcy, bo źli ludzie najmiłościwszy królu, kraj ten mieli w swych rękach — rzekł drugi, z którego sukni znać było duchownego.

— Im więcej posuwamy się w kraj pruski, na którym legła ręka krzyżacka, tem większe spotykamy zniszczenie — dodał trzeci. I razem ze wszystkich trzech piersi uleciało głębokie westchnienie, jakby każdy zajęty był ciężkiemi myślami, wszyscy zamilkli, tylko król Kazimierz Jagiellończyk, Jan Długosz kanonik krakowski i Jan Ostroróg kasztelan poznański obok niego jadący, przykładali od czasu do czasu rękę do czoła, aby się zasłonić od promieni słonecznych, aby im nie przeszkadzały w dal spoglądać.

Choć to było wczesnym rankiem i w październiku, słońce jednak raźno przygrzewało, lecz przy jego blasku jeszcze więcej uwydatniał się kraj smutny i opuszczony. Jak okiem zasięgnąć nigdzie śladów, żeby rosło zboże; pola nie uprawne, zarosłe zielskiem, gdzieniegdzie pokopane doły, a w nich resztki wygasłego popiołu, lub kości ludzkie i zwierzęce walające się pospołu. Woń zgnilizny czy padliny zatruwała powietrze, nigdzie śladu żyjącej istoty, zdawało się, że wszystko tutaj zamarło.

— Zkąd te kości — zkąd ta woń wstrętna? wszakże tu bitwy nie było? — ozwał się król.

— Gorzej, najjaśniejszy panie, od bitwy i oręża dłoń krzyżacka zniszczyć umie. Lud ten ciężko pracował o głodzie, owoce pracy zabierał Krzyżak, a gdy w pracy człek upadł, krucy mu tylko pogrzeb sprawili — rzekł Ostroróg.

— Nie darmoć ten lud oddaje się pod waszą opiekę, najmiłościwszy królu — musiało mu dojeść panowanie Krzyżaków, — dodał Długosz.

— Ba, i jam przez lat dwanaście wojnę z zakonem prowadził, a nie można było inaczej — i ta wojna kraj wyniszczyła — aleć teraz byleby pokój zawrzeć, wynagrodzimy tym, co jeszcze przy życiu.

I znowu wszyscy trzej zamilkli, każdy zajęty swojemi myślami.

W chwilę potem król kazał rozłożyć w szczerem polu obóz i postanowił czekać, jakie mu wieści o ludziach i okolicy przyniosą wysłani ludzie.

— Zdarzałoć się obozować po różnych krajach, a i w różnych przygodach — rzekł Jan Ostroróg, — ale nigdzie oko moje takiego pustkowia nie znalazło.

— Zmarłym niechaj będzie spoczynek, lecz żywych żeby gdzie odszukać, a nakarmić, — podał myśl Jan Długosz.

— Na tom ja kazał i obóz rozłożyć, — rzekł król, zsiadając z konia, i gwizdnął świstawką, którą miał u pasa — nadbiegli ze wszech stron pachołkowie, rozkładając skóry niedźwiedzie, aby królowi jak najdogodniejszym odpoczynek uczynić. Ale Kazimierz nie tego od nich żądał, dawał on rozkazy, aby jak najprędzej rozkładano ogniska, zawieszano kotły, a gdy wozy nadciągną, warzono strawę.

Rozkaz królewski w mig wykonano, wkrótce buchały ogniska. Nie było zaś wielkiego kłopotu ze zbieraniem paliwa, bo skraj pobliskiego lasu leżał zrąbany; jak gdyby nie tylko ludziom lecz i drzewom krzyżacka ręka nie dała spokoju; leżały więc ścięte i odarte z kory drzewa, a na polu całe kłody nie wiedzieć dlaczego porozciągane.

Nadciągnęły wozy; z nich wyładowywano taką moc krup, mąki, chleba i wędzonej słoniny, że i tysiące ludzi możnaby nakarmić.

Król przechadzał się po obozowisku, a poglądając na ogniska i dymiące kotły, od czasu do czasu rękę do czoła przykładał, a poglądał w dal, czy nie ujrzy wysłanych ludzi. Ale słonko już się chyliło ku zachodowi, już cała drużyna królewska, sam król i jego przyboczni posilili się skromnem jadłem, przy ogniskach nawet niecierpliwić się zaczęto i do snu układać, a ta sama cisza zalegała wyludnioną okolicę.

Wreszcie od lasu dał się słyszeć tentent koni, i głosy ludzkie — król uśmiechnął się — Jan Długosz odmawiający pacierze głośniej wymówił: „pax“ a kasztelan poznański, przyłożywszy rękę do czoła, zawołał:

— Ależ to nie małą gromadę pędzą przed sobą.

Rzeczywiście, wkrótce nadciągnęli wysłani przez króla, prowadząc ze sobą powiązanych ludzi; na koniach zaś wziętych luzem, siedziało po kilkoro poprzywiązywanych dzieci. Gromada pieszych szła słaniając się, przestraszona, dzikie wydawała okrzyki, opierali się, nie chcieli iść i dlatego wiązać ich musiano. I nie dziw, wszak połapali ich w lesie w gęstwinie, gdzie przed prześladowaniem Krzyżaków uciekli, tułając się o głodzie od dawna.

Innych, zwłaszcza młode pacholęta, powyprzęgano z sochy, do której jak bydlęta byli zaprzęgnięci.

— Jakżeście sobie poradzili z Krzyżaki, którzy orali w tych nieszczęśliwych? — ozwał się król.

— Rozmówiłem się z niemi krótko i odebrałem! — ozwał się żołnierz.

— A mówiłeś, że nie znasz języka? — zapytał monarcha.

— Nauczyłem się, najjaśniejszy panie, — Krzyżaka, co poganiał, — w łeb, a tych, co byli zaprzęgnięci, odciąłem od pługa i prowadzę, — rzekł z pewnem zadowoleniem.

Król uśmiechnął się tylko i z litością spoglądał na nieszczęśliwych, którzy legli na ziemi i nie wiedząc co się z nimi dzieje, wołali, aby im darowano życie.

Tymczasem kotły z przestudzonem jadłem ustawiono. Nieszczęśliwi poczuwszy zapach warzonej strawy, wrzeszczeć poczęli i rwać się do kotłów; — musiano ich trzymać, aby tłocząc się, nie pozabijali.

W drewnianych kubkach rozdawano gotowane krupy i kromki chleba, biedacy chwytali je chciwie, wyciągając dłonie i krzycząc, aby im po raz drugi jadła dano. Musiano użyć całej surowości, aby tę zgłodniałą rzeszę uciszyć, a było niemało do roboty i północ jeszcze zastała króla i całą drużynę na nogach. Ludzi bowiem głodnych z za lasu sprowaezono setkami. — Blizna nie tylko wylękłych mieszkańców, lecz i Krzyżaków rannych posprowadzał, — bo taki był rozkaz królewski.

Po wojnie Krzyżacy nie myśleli o rannych, którzy zawlókłszy się do lasu, jedni poumierali, inni, żywiąc się korzeniami i leśnym owocem, leżeli na poły żywi, nie mając siły dalej postąpić.

I prześladowców i prześladowanych odżywiła uczta w szczerem polu, którą hojna ręka dobrego pana przygotowała..

— Wszystkich tych ludzi na wozy, z nimi wjedziemy do Torunia, aby pokazać Krzyżakom, jakie są skutki ich rządów, jak się i ze swoimi obchodzą — rzekł krol, wskazując na leżącą pokotem uśpioną rzeszę.

— Ranni Krzyżacy mogą nam posłużyć do postawienia twardych warunków pokoju i rzucenia im w oczy, jak są słabe ich siły, jeżeli nie mieli już komu kazać pozbierać niedobitków — odrzekł kasztelan poznański.

— Miłościwy panie, a gdyby wysłać część wozów z żywnością do wiosek, w których tyle głodnego ludu, a tak schorzałego, że i ruszyć się nie może — odezwał się Długosz. — Ludzie, którzy wrócili, dość naopowiadać się o tej nędzy nie mogą; gdybyście mnie Miłościwy panie puścili od siebie, sambym ruszył z wozami, boć im tam i pomoc duchowna może być potrzebną — dodał.

Król zmarszczył brwi, chwilkę nic nie rzekł, wreszcie ozwał się patrząc przenikliwie na sługę Bożego:

— Jedźcie, mości kanoniku krakowski, ale pamiętajcie, że wasza obecność potrzebna nam w Toruniu i nie zwlekając, przbywajcie.

Długosz skłonił głowę przed królem i powolnym krokiem oddalił się do wozów, a król rozciągnąwszy się na skórze niedźwiedziej, zasnął snem błogim pod osłoną jesiennego nieba.

Jeszcze nocne nie pogasły gwiazdy, a już król świstem gwizdawki dawał znak do dalszego pochodu; szlakiem ku Toruniowi pociągnął z Janem Ostrorogiem, a za nim cały orszak i wozy z owym ludem, pozbieranym po lasach i niedobitkami krzyżackimi. W drugą stronę ciągnęły ładowne wozy z żywnością, a przewodniczył im Długosz, chcąc w poddającej się ziemi nakarmić głodnych i od śmierci uchronić.

Tymczasem w Toruniu przygotowywano się na przyjęcie Kazimierza Jagiellończyka, wyglądając go jak zbawcy.

Czwartego dnia po opisanej uczcie, król z całym orszakiem wjeżdżał do Torunia; dzwony biły radośnie, a mieszczanie z Janem Bajzenem na czele oddawali Kazimierzowi Jagiellończykowi klucze od bram miejskich, witając go chlebem i solą i prosząc o opiekę. Ludnosc jednak miejska, ujrzawszy ogromną ilość wozów a na nich owych nieszczęśliwych zebranych w drodze, przelękła się takiej ilości gąb, których wycieńczone miasto nie było zdolne wyżywić. Tu i tam zaczęły się szepty i trwożliwie spoglądanie na przybyłych, król spostrzegłszy to, domyślił się przyczyny, rzekł więc z powagą:

— Nie obawiajcie się tych gąb, nie objedzą was, bo żywność dla nich, ba i dla was ciągnie!

— Niech żyje król Kazimierz Jagiellończyk! — ozwali się Torończycy, usłyszawszy przemówienie królewskie.

— Weź nas Miłościwy królu, ojcze w opiekę! — wołano ze wszech stron, a gwałt był tak wielki, że musiano siłą uspokajać lud, rozochocony nadzieją lepszego bytu i ojcowskiej króla opieki.

Nadciągnął też niebawem i Jan Dlugosz; poważne jego oblicze rozjaśnione było spełnieniem miłościwego uczyku, opowiadanie zaś o nędzy, jaką zastał w wioskach, przejęło wszystkich do głębi.

— Otóż to rządy krzyżackie! otóż ich opieka — wołali jedni.

— Gdyby nie chleb królewski, w kraju człekby się jeden nie ostał! — mówili inni.

Tymczasem zbierała się starszyzna krzyżacka, lecz jakoś mniej butnie, niż zwykle. Korniejsze mieli postawy i nie tak głośno wykrzykiwali. Król zaś Kazimierz Jagiellończyk, Jan Ostroróg i Jan Długosz, oraz wielu panów częste miewali ze sobą narady; słuchali przybywających z rozmaitych ziem pruskich rycerzów i coraz więcej przekonywali

się, że Krzyżacy są tak wycieńczeni, że już dalej wojny prowadzić nie mogą. Zdołali oni jednak tak wszystkie ziemie pruskie i pomorskie wyniszczyć, że zewsząd dochodziły tylko skargi na lud wynędzniały, pola nieobsiane i brak wszelkiego dobytku widomym były krzyżackiego gospodarstwa dowodem.

Wreszcie król Kazimierz ze swymi panami, oraz starszyzna krzyżacka z mistrzem Frydrychem von Anspach na czele zebrali się na toruńskim ratuszu; król przedtem kazał Bliźnie i Józwie, aby na pierwsze zawołanie i znak królewskiej świstawki lud ów zebrany po ziemiach wiedli pod ratusz i w krąg go tam pod oknami wielkiej izby ustawili.

Zaczęły się obrady.

— Pozwolicie Najjaśniejszy panie, a nam wielce miłościwy królu Kazimierzu, że nasz sekretarz przeczyta warunki pokoju, który tak dla nas, jak i dla waszego państwa jest bardzo pożądany — rzekł wielki mistrz krzyżacki.

Kazimierz uśmiechnął się z tej chytrości krzyżackiej, spojrzał porozumiewająco na Ostroroga i Długosza i rzekł:

— Jakkolwiek jesteśmy zwycięzcami przybywamy na prośby obywateli ziem przez was rządzonych i nam się piewsze słowo należy, chcemy jednak wiedzieć, jakie są wasze żądania, czytajcie — dodał.

„My, wielki mistrz krzyżacki, Fryderyk von Anspach — począł po niemiecku sekretarz.

— Ho, poczynacie waszą mową, której my nie rozumiemy — przerwał król.

— My waszej nie znamy — odrzekł chytrze Frydrych.

— Ale znacie łacińską, a chociaż jam w niej nie biegły, ale oto są wierni krajowi i zasłużeni wielce panowie, którzy ten język i wszelkie jego obroty znają; — rzekł król, wskazując na Jana Ostroroga, Jana Długosza i Jana Buzińskiego. Na ich słowie i zdaniu polegać mogę, czego, nie zrozumiem oni mi wytłómaczą i oni też będą tłómaczami moich wymagań — dodał.

Wszyscy trzej wezwani schylili z uszanowaniem przed królem głowę.

Krzyżakom nie w smak poszła ta mowa; sekretarz i wielki mistrz spojrzeli po sobie porozumiewająco, inna starszyzna krzyżacka zaczęła chrząkać i spoglądać na wielkiego mistrza; z ich spojrzeń znać jednak było, że błagają, aby mistrz na żądanie króla polskiego się zgodził.

— Może więc waszmość przedłoży cały dokument nasz po łacinie — rzekł wielki mistrz do sekretarza. — Łacińskiego przygotowanego nie mamy — dodał zwracając się do polskich panów.

— W takim razie możemy obrady odłożyć do jutra — odrzekł Ostroróg — tłómaczenie na razie z łacińskiego skryptu mogłoby potem jakieś niedokładności wprowadzić i układy nieważnemi uczynić.

— *Verba volant, scripta restant* [1]) — rzekł Długosz.

Wielki mistrz spojrzał z pod oka na mówiącego, uśmiechnął się po swojemu i dał jakiś znak sekretarzowi.

— Przygotowałem tu na wszelki wypadek i łaciński dokument — rzekł powoli Niemiec; wyciągając z zanadrza drugi pergamin.

Król zaśmiał się na całe gardło, Ostroróg pogładził brodę, a Długosz rzekł po łacinie:

— Chwalebna przezorność!

Sekretarz czytał:

„My, wielki mistrz krzyżacki Frydrych von Anspach w obecności całej naszej starszyzny i za całą jej zgodą, zobowiązujemy się dalej już z królem polskim Kazimierzem Jagiellończykiem wojny nie prowadzić, na ziemie jego nie napadać, ziemię michałowską i chełmińską w ręce jego oddać i na wieczne czasy do nich sobie żadnego prawa nie rościć. Tak nam panie Boże dopomóż“.

— Jakto, już wszystko? — zapytał król.

Sekretarz skłonił głowę, wielki mistrz dodał:

— Wszystko, alboż to mało?

— Wytłómacz mi to mości kanoniku krakowski — rzekł król, zwracając się do Długosza — możem niedokładnie zrozumiał.

Długosz krótki ten akt powtórzył prawie dosłownie po polsku.

— Ha, ha, ha! — zaśmiał się Kazimierz — a to widzę sianem chcecie nam się wykręcić; na takie warunki ani ja, ani panowie radni nie przystaną. Ale raczcie posłuchać naszych.

Wielki mistrz skrzywił się.

— Słuchaliśmy waszych, słuchajcie i wy naszych — rzekł król i dał znak Długoszowi, który wziąwszy przygotowany pergamin czytał:

„My król polski Kazimierz Jagiellończyk, powołany przez ludność pruską i pomorską

---

[1]) Słowo ulatuje, pismo pozostaje.

na pomoc przeciw uciskającym Krzyżakom, zobowiązujemy się dalej wojny nie prowadzić, jeżeli wielki mistrz krzyżacki odda nam ziemię michałowską, chełmińską, oraz miasto Malborg z fortecą nienaruszoną i całym okręgiem, a także Elbląg, Tolkemii, Sztum..."

— Najjaśniejszy panie — przerwał mistrz — czyż możemy ze wszystkich ziem się wyzuć i oddać ludność naszą...

– Ludność waszą — przerwał zniecierpliwiony Ostroróg — tę ludność, którąście do zagłady i głodu przywiedli, a którą najmiłościwszy pan przy samem wejściu chlebem musiał nakarmić i z lasów sprowadzać.

Król nic nie rzekł, tylko skinął ręką, aby dano spokój wszelkim rozmowom, a potem zadął w nieodstępującą go nigdy świstawkę. Świst ten sam powtórzył się na schodach izby, potem za oknami ratusza i dalej jeszcze w ulicach.

Krzyżacy spojrzeli po sobie, jakaś trwoga ich ogarnęła.

— Nie macie się dostojny mistrzu czego obawiać — uspokoił ich Ostroróg — pan nasz zasadzki na was nie sprowadza; zwołuje tylko świadków, aby godnie rzecz całą załatwić.

Cisza zaległa komnatę. Krzyżacy spoglądali po sobie, panowie polscy i król uśmiechali się z pewnem zadowoleniem. — Po półgodzinnem oczekiwaniu dał się słyszeć jakiś gwar pod oknami. Król powstał i zaprosił wielkiego mistrza do otwartego okna. Około ratusza zalegały tłumu ludu, owi głodni, nakarmieni przez Kazimierza, wyciągali ku niemu błagalne dłonie.

— Spytajcie ich się wielki mistrzu, czyli są waszym ludem — rzekł król Kazimierz.

Nie trzeba było jednak pytania; wynędzniała rzesza sądząc, że ich oddają Krzyżakom, jednogłośnie wołała:

— Królu, ojcze! nie oddawaj nas Krzyżakom!

Ludnosć zaś wiejska wołała:

— Precz z Krzyżaki! rozerwiemi ich zakon na sztuki. Najmiłościwszy król polski, Kazimierz Jagiellończyk niech nad nami panuje!

Krzyki i wrzawa nie ustawały.

— Oto wasza ludność! — rzekł z powagą król.

Wielki Mistrz wtulił głowę w ramiona, — jego otoczenie spoglądało na niego błagalnie.

— Chcecież wojny? — zapytał Kazimierz.

— Nie! — ozwał się jednozgodny okrzyk ze wszystkich krzyżackich piersi.

— Przystańcie więc na warunki pokoju.

— Przystajemy! — zawołał ponuro mistrz krzyżacki.

— Czytajcie więc dalej mości kasztelanie poznański — rzekł król, zwracając się do Ostroroga.

Ostroróg ciągnął dalej:

— Oprócz wymienionych wyżej ziem: mi„chałowskiej, chełmińskiej, miasta Malborga „z fortecą i okręgiem, miast: Elbląga, Sztumu, „Tolkemita, warujemy sobie powiat kryszbor„ski, Warmią z całem biskupstwem, oraz zu„pełną wolność handlu na morzu Bałtyckiem. Prusy zaś wschodnie z miastem Królewcem „przy zakonie zostają, z warunkiem, że tak „obecny tutaj mistrz krzyżacki Frydrych von „Auspach jako i jego następcy składać będą „królowi polskiemu hołd należny, oraz dostar„czać na każdą wojnę posiłków".

Przy każdym prawie wyrazie mistrz krzyżacki wzdychał ciężko, kilka razy zrywał się i chciał przeszkodzić dalszemu czytaniu, lecz obecni Krzyżacy spoglądali na niego. Frydrych nie widząc w ich oczach chęci do dalszej walki, wiedząc, że skarb ma bardzo wycieńczony, rad nie rad, przystać musiał i podpisano pokój dnia 19 października 1466 r., a mocą tego pokoju owe ziemie i ludność pruska i pomorska przeszła pod panowanie Kazimierza Jagiellończyka.

Po podpisaniu pokoju w Toruniu, dla ludu zalegającego rynek zastawiono ucztę, a król po całym kraju rozesłał wozy z żywnością. Gdziekolwiek zaś te wozy się ukazały, ludność wybiegała, wołając:

— Jedzie, jedzie chleb królewski!

Z. Morawska.



Z wędrówek po kraju.

Sandomierz.

Korzystając z niezwykle stałej pogody, jaką mamy w tym roku, zrobiłam wycieczkę w czasie Zielonych świąt do Sandomierza, ażeby zwiedzić ten stary gród, w którym jest wiele pamiątek z naszej dawnej potęgi, a które są drogie sercu każdego Polaka.

Sandomierz możnaby nazwać polskim relikwiarzem, bo żadne miasto polskie nie było tyle razy napadane przez hordy tatarskie i inne dzikie plemiona, co Sandomierz i kilka razy prawie doszczętnie wymordowane.

W roku 1251 za panowania Bolesława Wstydliwego, napadnięte przez hordy tatarskie, i splądrowane, oraz zupełnie zniszczone, a zaledwie się trochę zaludniło, już w roku 1260 za tegoż samego króla powtórnie napadnięte było.

Takiż sam los spotkał .go za panowania Leszka Czarnego, w 1270 r. Położenie Sandomierza jest przepiękne; miasto zbudowane na stromym brzegu Wisły, przez którą przeprawiwszy się łodzią, trzeba przejść 154 schodów nim się wyjdzie do miasta. Po prawej stronie wymienionych schodów, lecz jeszcze wyżej stoi ogromny budynek po-jezuicki, obecnie na gimnazyum przerobiony. Zaraz przy schodach po lewej stronie, stoi stary budynek grożący ruiną, to dom Długosza, przez niego wystawiony; obecnie przez służbę kościoła katedralnego zamieszkały. Bardzo piękny i świeżo odnowiony kościół Panny Maryi czyli katedra, jeszcze fundacyi Bolesława Krzywoustego zbudowany około roku 1120, mury wzmocnione były w XVI wieku, obecnie odnowiony, ale stare obrazy ogromnej wielkości którymi całe ściany są zawieszone, przedstawiające mordowanie ludzi w kościele, świadczą o dawnej przeszłości.

Idąc na dół od kościoła Maryackiego, w niedalekiej odległości wznoszą się mury dawnego zamku królewskiego, dziś niestety świętokradzką ręką barbarzyńcy, przerobione na więzienie, a mury białem wapnem obielone, przykry sprawiają widok.

Około zamku idąc dalej, gdzie był dawniej stary Sandomierz, jest bardzo stary kościół św. Jakóba, wystawiony przez księżniczkę Adelajdę, siostrę Leszka Białego, a córką Kazimierza Sprawiedliwego w r. 1200 a w r. 1219 biskup krakowski Iwo, założył przy tym kościele klasztor Dominikanów i bratanka swego, św. Jacka, jako pierwszego Dominikana w nim umieścił. Cela, w której mieszkał św. Jacek, przerobiona jest na kaplicę. W tym też kościele w czasie napadu Tatarów w roku 1260 modlących się zakonników 49 wymordowano. Zakonników tych uważają za świętych i czczą w osobnej kaplicy, pod wezwaniem św. męczenników.

Z powodu tak częstych napadów, jakie to miasto odpierać ciągle musiało, mieszkańcy budując twierdzę, robili także ogromne lochy podziemne i kurytarze, z których jeden przeprowadzonym był aż pod korytem Wisły, ażeby ludność mogła się chować przed nieprzyjacielem.

Bardzo ciekawą legendę opowiadają tu o pewnej niewieście polskiej, imieniem Halina, która straciwszy męża i ojca w walce z Tatarami, poświęciła własne życie, ażeby się pomścić na Mongołach, a miasto ocalić.

Było to w roku 1286, Tatarzy oblegli miasto naokoło, ciągle szturm do niego przypuszczając; załogą sandomierską dowodził wójt Witkosz i obywatel ziemski Dersław. Halina tylko Witkoszowi powierzyła swoją tajemnicę, wyszła z miasta podczas ciemnej nocy do obozu tatarskiego, a stawiona przed ich wodzem, powiedziała, że jej Sandomierzanie wielką krzywdę zrobili, że chce się na nich zemścić i gotową jest zaprowadzić ich do lochów, w których ogromne skarby są ukryte.

Chciwi Tatarzy uwierzyli słowom Haliny i cała ich czereda weszła do lochów pod zamkiem, do których przodem idąc, Halina wprowadziła ich wszystkich. Natenczas wójt Witkosz wypadł z oddziałem swoich i kamieniami otwór do lochów zasypał. I tak jedna dzielna kobieta, ocaliła miasto od nieuniknionej nowej klęski, i wraz z liczną hordą tatarską, żywcem pogrzebioną została.

W pewnem miejscu woda urwała kawałek ziemi, i odsłoniła całą warstwę piszczeli, to jest kości z rąk i nóg ludzkich, i tę dolinę nazywają „Doliną piszczeli". Są tam w bliskości góry zwane „Pieprzowe", tam raz po wiosennych deszczach, gdy się kawałek ziemi usunęło, cały szereg popielnic dał się widzieć. Kilka z nich ledwo zdołano wyjąć, bo inne ziemia swem ciężarem zgniotła. Widocznem jest, że było to jakieś pogańskie cmentarzysko, bo był zwyczaj u pogan, że ciało umarłych palili, a szczątki popiołu do urn, czyli popielnic zsypywali i tak zakopywali do ziemi.

Sandomierzanie mówią, że gdzie tylko, czy to w polu pługiem się ruszy, czy w ogrodzie łopatą, wszędzie się na kości ludzkie natrafia.

Idąc dalej od kościoła św. Jakóba, jest jeszcze jeden bardzo stary kościół św. Pawła, którego pierwotnym fundatorem był Iwo biskup krakowski, który przy kościele św. Jakóba założył klasztor Dominikanów, a na to miejsce wystawił kościół św. Pawła w samem środku miasta i tam przeniósł parafię. Stary

ten kościół stoi już teraz daleko za miastem, bo nowy Sandomierz zbudowanym jest na stromym brzegu Wisły.

W mieście jest bardzo ładny ratusz, kościół św. Ducha, przy którym jest szpital i szarytki w miejsce Duchaczek. Dalej brama Opatowska, kościół św. Michała, przy nim klasztor Benedyktynek i kościół św. Józefa czyli Reformatów. Klasztor przy tymże kościele przerobiony na cerkiew prawosławną i mieszkanie popa. Przy każdym z tych klasztorów jest obecnie tylko po jednym księdzu, zakonników wszystkich rząd rosyjski porozpędzał, a wsie i folwarki, którymi byli wyposażeni, na skarb zabrał. Tylko katedra ma biskupa, kanoników i większy zastęp księży.

Ostatnią klęskę poniósł Sandomierz od Szwedów za panowania Jana Kazimierza w r. 1655. Kiedy Szwedzi w przeciągu kilku miesięcy całą prawie Polskę splądrowali, wszystkie zdobycze wojenne do twierdzy sandomierskiej sprowadzili.

Niepokojeni przez Stefana Czarneckiego, który ciągle chodził za nimi, z zamku sandomierskiego, pod osłoną nocy, uciekać musieli, a nie mogąc zabrać wszystkich nagromadzonych tam baryłek z prochem, pozostałą resztę, to jest 300 cetnarów prochu i parę tysięcy granatów wybuchowych, kazali znieść do lochów zamkowych, a zapaliwszy długie lonty, zamek opuścili.

Już nasze wojska weszły na dziedziniec zamkowy, kiedy nastąpił wybuch, wśród strasznego huku połowę zamku wyleciało w górę, a spadające mury setki naszych rycerzy przygniotły swym ciężarem.

A że równocześnie i pożar był wzniecony, który bardzo wielkie zrobił spustoszenie, więc od tego czasu to piękne stare miasto nigdy już do dawnej świetności nie powróciło.

Każdy z królów polskich bardzo chętnie w zamku sandomierskim przebywał, już to zapewne dla pięknego widoku jaki się stamtąd roztacza, już dla świeżego i zdrowego powietrza, a może także i dla tej ogromnej ilości doborowych owoców, którymi sady sandomierskie są przepełnione; wreszcie może i dla dobrego wina, bo wszystkie wzgórza okoliczne winną latoroślą zasadzone były, a sandomierskie wino, jak również i złote ziarna pszenicy sandomierskiej słynne były w całej Polsce.

Chodząc po tych pochyłych ulicach Sandomierza, po tych starych brukach, zatopiona cała w naszej wielkiej przeszłości, w wyobraźni mej widziałam tych dzielnych mieszczan sandomierskich, którzy mężnie opór stawiali dzikim najezdcom; i zdawało mi się, że świętokractwem jest chodzić po tych kamieniach, bo one są święte, bo ta cała ziemia jest krwią męczeńską przesiąknięta, której strugi podobno aż do Wisły płynęły. Z jakąż przykrością spotykałam co parę kroków moskiewskiego żołdaka, który z całą bezczelną śmiałością patrzy w oczy, jakby chciał powiedzieć: „Dziś ja tu jestem panem“.

O Boże! Kiedyż się ulitujesz nad Twym nieszczęśliwym narodem?

W. Ciechomska.



O militaryzmie współczesnym,

tj. o stanie wojennym państw.

Jedną z największych klęsk, trapiących dzisiejsze społeczeństwa, jest militaryzm, który wzrastając z roku na rok pochłania najlepsze siły żywotne narodów, urąga wprost całej naszej osławionej cywilizacyi. Militaryzmem nazywamy usposobienie, w którem uwaga rządzących pochłonięta jest głównie obmyślaniem sposobów podniesienia potęgi politycznej państwa, rozszerzenia jego granic kosztem słabszych sąsiadów, obrony od napadów nieprzyjacielskich. Rząd dba więcej o zewnętrzną potęgę kraju, niż o jego wewnętrzny rozwój i pomyślność, uwagę jego zaprzątają sprawy wojskowe, znaczną część dochodów obraca na armię, broń i fortece, mniej troszcząc się o oświatowe potrzeby społeczeństwa, o szkoły, muzea, szpitale, rolnictwo, przemysł, handel itp. Cierpi na tem cywilizacya, kraj ubożeje, siły swe i środki obraca na podniecanie uczuć zemsty i nienawiści, na przygotowanie do morderczych, krwawych zapasów, w których marnieją owoce pracy całych pokoleń.

Wojny w latach ostatnich toczą się po za Europą, w innych częściach świata, w Ameryce, Afryce lub Azyi, — u nas panuje spokój, ale jest to spokój oparty na bagnetach, nie grozi nam wojna, a jednak miliony płacone w postaci podatków przez całe społeczeństwo, idą na kupno coraz to nowych armat i zapasów wojennych. Monarchowie, zarówno, jak mężowie stanu kierujący losami państw, ustawicznie zapewniają o swem poko-

jowem usposobieniu, a jednak mimo owych pięknie brzmiących obietnic i zapewnień, z rokiem każdym wzrastają wydatki wojenne, rządy zbroją się bez przerwy, coraz to nowe ciężary nakładając na społeczeństwo.

Weźmy np. Austryę, corocznie przeszło 300 milionów koron wydaje się na cele wojenne, na utrzymanie armii, drugie 300 milionów płaci się procentów od długów, które zaciągnięte zostały przez państwo w czasie dawnych wojen, ciężar ich w ten sposób dziś jeszcze odczuwać się daje. Nie dość na tem, minister wojny żąda wciąż coraz więcej pieniędzy, niedawno uchwalono 450 milionów koron na nowe ubrojenia. Wiadomo powszechnie, ile jest niezaspokojonych potrzeb społecznych, ile nędzy, głodu i ciemnoty, a potrzeby te usuwają współczesne rządy na plan drugi wobec wydatków wojennych, pochłaniających znaczną część dochodów państwowych.

Postępy wiedzy współczesnej, zużytkowane zostały w XVI. wieku dla celów wojennych, wysilały się umysły na wynajdywanie coraz to bardziej morderczych środków wybuchowych, stwarzanie prawdziwych arcydzieł w sztuce zabijania. Wynaleziono proch bezdymny, pancerniki, torpedowce, miny podwodne, kule pozbawiające życia prawie bez śladów zewnętrznych itp. Co lat kilka udoskonalają się narzędzia wojny, a ponieważ żadne państwo nie chce pozostać poza innemi i narażać się na niebezpieczeństwo, więc rzuca się broń starą, wydaje miliony na nowe uzbrojenia, stojące na wysokości sztuki i techniki współczesnej. I tak marnują się olbrzymie zasoby, wielkie bogactwa tworzone ciężką pracą milionów. W ostatnich dziesiątkach lat wielkie państwa europejskie w szalony sposób prześcigały się wzajemnie w udoskonaleniu broni, w podnoszeniu siły liczebnej armii i floty.

Wszystkie te straty materyalne bledną jednak wobec szkód, jakie militaryzm wyrządza społeczeństwu, zabierając mu jego najlepsze siły w postaci rekrutów, najzdrowszą młodzież pędzą do służby wojennej, odrywają na całe lata od pracy i rodziny dla ćwiczenia jej w sztuce zabijania drugich. We wszystkich krajach zaprowadzono obowiązkową, powszechnie służbę wojenną, w chwili obecnej, w czasie pokoju, stoi w Europie pod bronią 3 miliony ludzi, w razie wojny liczba ta wzrośnie do 10 milionów, rzuconych na pole walki, na pastwę armatom. Uzbrojone narody czekają gotowe chwili, aby się wzajemnie niszczyć i mordować, ludzkość współczesna składa straszny procent sił swoich na ołtarzu bożyszczom militaryzmu. Zwyciężają częstokroć nie ci, po których stronie słuszność i sprawiedliwość, lecz zuchwali i silni, depczący bezkarnie prawa słabszych narodów; ucisk budzi nienawiść, żądzę odwetu, i tak bez końca zużywają się siły, odnawia walka na śmierć i życie, zaciekła, nieubłagana...

Od zniesienia militaryzmu, od rozbrojenia ludzkości zależy w znacznej mierze dalszy rozwój cywilizacyi; z chwilą, gdy siły i środki obracane dziś na niszczenie, zużyte zostaną na podniesienie oświaty i dobrobytu, gdy ludzie przestaną wzajemnie się mordować i nienawidzieć, łatwiej złagodzić się dadzą te straszne nędze, jakie dziś jeszcze trapią nasze społeczeństwa, przygniatając całym ciężarem słabych, niezdolnych do zaciętej walki o byt, o władzę i panowanie.



Pies niańką.

(Zdarzenie prawdziwe).

Niedawno temu w Bliżynie, do państwa S. zeszli się goście, w liczbie których była matka z małem dzieckiem, mającem zaledwie rok jeden. Było to w lecie. Goście zabawiali się, gwarząc wesoło. Dziecko bawiło się na podłodze obok matki. Na podwórzu, niedaleko domu leżał pies, przywiązany na łańcuchu. Po niejakim czasie dziecko wyszło niespostrzeżenie z domu na podwórko i zbliżyło się do psa, chcąc go pogłaskać. Pies, widząc dziecię, chodzące po podwórzu bez opieki starszych, łaskawie przygarnął je do siebie, zrobił mu miejsce na swem posłaniu, a sam stanął na straży u wejścia, zasłaniając sobą dziecko.

Po upływie paru godzin matka spostrzegła nieobecność dziecka. Przeszukała dom i podwórko, ale dziecka nigdzie nie było. Zebrani goście dowiedziawszy się o tem, co zaszło, wzięli również udział w poszukiwaniu zaginionego dziecka, ale także bez skutku.

Matka odchodziła prawie od zmysłów z rozpaczy, i głośno narzekając, sobie przypisywała winę smutnego wypadku. Gospodarz domu wielce się tem także strapił; przebiegał z wielką starannością i przezornością wszystkie kąty podwórza, lecz również bezowocnie. Dziecię



Z POKOLENIA W POKOLENIE W NIEWOLĘ.

niewidzialne dla nikogo, cichutko siedziało w psiej budzie.

Pies zachowywał się bardzo spokojnie, przypatrując się obojętnie temu, co się wokoło niego działo; nie rzucał się nawet na obcych ludzi, którzy raz wraz około niego przechodzili. Takie niezwykłe postępowanie psa zwróciło wreszcie uwagę gospodarza, zbliżył się więc do niego, rozkazując mu wyjść z budy. Lecz pies, zawsze posłuszny na głos pana, tym razem ruszyć się z miejsca nie chciał, nawet wtedy, gdy mu rzucono kawał mięsa zdala od budy. Na powtórne zaś nawoływania odpowiedział warczeniem i pokazaniem ostrych zębów. Takie obejście się psa ze swym panem było nową zagadką i zarazem wskazówką, że musi mieć coś w budzie, czego pilnie strzeże. Zaciekawiony gospodarz zaszedł z innej strony i dojrzał dziecko spokojnie siedzące na psiem legowisku. Radość matki była nie do opisania Ale nastąpił nowy kłopot z wydostaniem dziecka z budy, gdyż pies, nie zważając na pana, grożącego mu żelaznemi widłami, nie ruszał krokiem, ale tem mocniej docinał Po namyśle gospodarz doradził, aby sama matka poszła zabrać dziecię; uczyniła to z wielkim strachem — ale obawa jej próżną była Pies natychmiast przestał warczeć, spokojnie wyszedł z budy, pozwalając matce zabrać swe dziecię.

Po tym wypadku próbowała owa matka podchodzić do psa, ale ten przyjął ją nieprzyjaźnie, jak wszystkich obcych Teraz pozwala się on wiązać i spuszczać z łańcucha tylko swemu panu lub któremu z domowników — żadnej zaś obcej osobie nie daje przystępu do siebie.

Powyższy wypadek powinien być przykładem dla matek i piastunek, aby wiernie spełniały swe obowiązki. Jeżeli pies, nieme i bezrozumne stworzenie, z taką troskliwością zaopiekował się dzieckiem, o ileż lepiej powinni postępować ludzie. *Antoni Zwolski.*



Wieża Jasnogórska.

Od dwóch lat nie ustaje praca nad odbudowaniem wspaniałej wieży kościoła Jasnogórskiego. Mimo ogromnych rozmiarów tej odbudowy, dzięki energii ks. przeora Rajmana i kierownika budowy architekta Szyllera, roboty posuwają się tak szybko, że w niedługim czasie można się spodziewać końca

„Kuryer Warszawski“ opisuje przebieg niektórych prac, gdyż szczegółami tychże zajmuje się cała katolicka Polska.

Pierwszą czynnością przy rozpoczęciu robót było zbadanie fundamentów. Okazało się wtedy, że wieża właściwych fundamentów nie posiada, stojąc bezpośrednio na powierzchni skały Jasnogórskiej. Skała ta jednak pod frontową ścianą była bardzo zwietrzała i popękana we wszystkich kierunkach; po usunięciu tego gruzu skalnego, natrafiono na duże zagłębienie, wypełnione ziemią miękką i mułem, jak się zdaje przez wody zaskórne naniesionym. Po usunięciu mułu i wyrąbaniu skały, całą tę pieczarę wypełniono betonem, wskutek czego utworzono nowy silny fundament dla ściany frontowej. Wtedy zaszedł wypadek nieoczekiwany; okazało się bowiem, że wieża stoi na miejscu dawnej studni w skale wykutej, którą niegdyś zasypano i kilkakrotnie cegłami i wapnem zasklepiono, czas jednak i działanie wód deszczowych zniszczyły tę pracę nieznanych budowniczych wieży, studnia zaczęła się zapadać, co mogło z czasem spowodować dla wieży poważne niebezpieczeństwo. Jak przypuszczać należy, zagłębienie to było w związku z głęboką, obszerną pieczarą, odkrytą pod murem zewnętrznym. Trzeba było z największą ostrożnością na kilkometrowej głębokości, usuwając nagromadzony muł, wypełniać większe rozpadliny silnym murem i betonem, a wszelkie szczeliny w skale zalać cementem. Po długiej i mozolnej pracy całą podstawę wieży w ten sposób wzmocniono i jednocześnie usunięto wszelkie niebezpieczeństwo, jakie z tej przyczyny mogło w przyszłości grozić odbudowie.

Wieża odbudowuje się podług form dawnych, jakie miała przed pożarem, z tą jednak różnicą, że dawniejsze tynki wapienne zastąpiono licówką z szydłowskiego kamienia, a zamiast drzewa, które stanowiło konstrukcyę górnej części, a która jak wiadomo, była powodem pamiętnego pożaru, użyto żelaza.

Gdy rozbierano mury, natrafiono także na ślady onych ośmiu kolumn, które, według wzmianki klasztornej kroniki, zdobiły ongi szczyt wieży. Ale że ślady te zbyt są niewyraźne, dlatego po odbudowie wieża będzie miała, jak przed pożarem, tylko cztery kolumny; dawniej były one drewniane, miedzianą

blachą obite, teraz będą z labradoru, t. j. największe monolitowe, jakie w kraju naszym posiadamy. Dla wyciągnięcia tych kolumn na tak znaczną wysokość były urządzone dwie specyalne windy ze stalowemi linami; jedna z nich podawała kolumny do góry, druga, umieszczona na wózku, przesuwana dowolnie na szynach, ustawiała je na przygotowanych wcześniej, niemniej potężnych podporach z polerowanego czerwonego granitu. Z takiegoż granitu wykonane są kapitele i basy, t. j. głowy i podstawy kolumn.



Pierwszy Wiec górnośląskich kobiet.

Pierwszy to raz wezwano kobiety Górnego Śląska na publiczne narady. Okazało się, że i one porówno z mężczyznami odczuwają potrzeby swego społeczeństwa, bo na wiec stawiły się nader licznie.

Około 1500 niewiast zasiadło na krzesłach, a nieliczni mężczyźni stanęli po obydwu stronach sali.

Punktualnie o godzinie 4-ej zagaiła Wiec redaktorka pisma tamtejszego, witając zebrane w imieniu komisyi zwołującej staropolskiem pozdrowieniem „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“.

„Na wieki wieków, Amen“! rozległo się na sali i nastąpiła uroczysta cisza.

Ze zdziwieniem a zarazem uznaniem podnieść należy uroczystość powagę i zrozumienie rzeczy wśród wiecowniczek. Doprawdy można było myśleć, że to obznajmione w publicznych sprawach i doświadczone bojowniczki.

Z natężoną uwagą słuchały wywodów mówczyń, zaznaczając śmiało zwroty i zdania, które szczególnie trafiały im do przekonania.

Wygłoszone mowy odznaczały się ciepłem, serdecznością i znajomością dusz kobiecych.

Pierwsza przemawiała pani Koraszewska, a słowa jej owiały słuchaczki ciepłem swojskości. Toć to rodowita Górnoślązaczka przemawiała do sióstr swoich i z własnego życia czerpała przykłady, które stawiała przed oczy zgromadzonych.

To też jak przedtem już burzą oklasków przyjęto wybór pani Koraszewskiej na przewodniczącą wiecu, tak teraz burzą oklasków podziękowano jej za przemówienie.

Na mównicy stanęła teraz pani Hagerowa z Zabrza.

To urodzona mówczyni, złotousta prelegentka. Głos jej cichy, a jednak dziwnie dźwięczny rozbrzmiewał w najdalsze zakątki sali; sposób mówienia przenikający do głębi, poruszył serca słuchających. Cisza panowała taka, że słyszałbyś przelatującą muchę. Oczy wszystkich zwrócone były na mówczynię, a w tych oczach na przemian to błysk zapału, to łzy rozrzewnienia.

Jak nadzwyczaj głębokie wrażenie wywarło przemówienie pani Hagerowej, świadczyły nietylko długotrwałe oklaski, ale świadczył najlepiej ten gwar, jaki powstał potem na sali. Słuchaczki widocznie poruszone były do głębi i pragnęły udzielić sobie nawzajem doznanych wrażeń. Nie było pewnie na sali ani jednej, którąby nie żałowała, że prelegentka mówić przestała; z przyjemnością byłoby się słuchało godzinami, jak mówczyni z dziwną znajomością ludu górnośląskiego roztaczała obrazki z jego życia i z przejmującem ciepłem pouczała słuchaczki, jak postępować powinny, chcąc zasłużyć na miano Polki.

Ostatnia przemawiała panna Janina Omańkowska, redaktorka *Gwiazdy*.

Pani Majewska odczytała przesłaną od Maryi Siedleckiej, redaktorki *Przodownicy*, odezwę do wiecujących Górnoślązaczek.

Treści przemówień nie podajemy, gdyż zostaną one wydrukowane w osobnej broszurce, a już staraniem naszem będzie, aby Czytelniczki *Przodownicy* tę broszurkę otrzymały. Będzie ona miłem przypomnieniem dla tych niewiast, które na Wiecu były; dla osób zaś z dalszych okolic będzie zachętą do urządzania takich wieców po wszystkich zakątkach Górnego Śląska.

Nastąpiły potem wolne głosy. Z początku uczestniczki Wiecu nie miały odwagi do zabrania głosu, ale kiedy od stołu Zarządu zachęcono je, aby śmiało wypowiadały swe zdania i swe doświadczenia z życia, zgłosiło się do głosu kilkanaście kobiet z ludu. I te właśnie przemówienia ich dały dopiero prawdziwy obraz dojrzałości umysłowej górnośląskich niewiast. Wszystkie przemawiały jasno i do rzeczy, to jest o sprawach, które były przedmiotem obrad: o wychowywaniu dzieci w duchu narodowym i o działalności kobiety Polki w rodzinie.

To też i nie dziw, że przedłożona w końcu rezolucya przyjęta została przez wiecowniczki jednogłośnie z zupełnem zrozumieniem. Zebrane niewiasty górnośląskie świadome były ważności przyrzeczeń, jakie z tak gorącem uczuciem składały.

Rezolucya brzmiała jak następuje:

„Ponieważ wszyscy, mówiący jednym językiem, należą do jednego narodu i są dziećmi jednej matki Ojczyzny;

„ponieważ jedynie w języku ojczystym człowiek może kształcić i rozwijać swego ducha i jedynie zapomocą języka ojczystego może duszę i myśl podnosić do Boga;

„ponieważ każdy człowiek powinien uczyć się i oświecać, aby coraz lepiej poznawał obowiązki swoje względem Boga, rodziny i społeczeństwa,

„przeto my zgromadzone na Wiecu kobiety górnośląskie oświadczamy niniejszem i uroczyście przyrzekamy, że:

„1. poczuwać się będziemy stale do wspólności i jedności z polskim narodem i każdego Polaka i Polkę uważać za brata i siostrę i że to poczucie wszczepiać będziemy w serca naszych dzieci;

„2. starać się będziemy ze wszystkich sił, aby dzieci nasze nauczyły się w mowie ojczystej czytać i pisać i aby w tej jedynie mowie modliły się i przystępowały do świętych Sakramentów; aby mowę ojczystą po ojcach odziedziczoną kochały i szanowały nad wszystko;

„3. dążyć będziemy same do coraz większej oświaty, czytać polskie pisma i książki, aby stać się świadomemi swych obowiązków obywatelkami i przyszłe pokolenie wychować na chwałę Boga i pożytek polskiego narodu.

„To przyrzekamy uroczyście w imię miłości świętej Wiary katolickiej i ojczystej polskiej mowy“.

Po przyjęciu rezolucyi przewodnicząca zamknęła Wiec pochwaleniem Boga, gdy wtem na sali rozbrzmiał śpiew: „Niech żyją nam“! Było to ze serca płynące podziękowanie dla pań, które zajęły się urządzeniem Wiecu.

Wiec rozpoczęto i zakończono odśpiewaniem pieśni nabożnych. Poważne dźwięki pieśni „Nie opuszczaj nas“ i „Serdeczna Matko“ podniosły uroczyście wrażenie chwili.

Wychodzącym rozdano tysiąc rezolucyi drukowanych, jako pamiątkę z wiecu.

Wiec wywarł potężne wrażenie. Na twarzach zebranych kobiet widać było rozradowanie i rzewność, które ujawniały się w podziękowaniach i uściskach, jakiemi obdarzono po wyjściu mówczynie i Zarząd.

A i skutki wiecu będą niewątpliwie dodatnie i trwałe.

Znane nam są wypadki, gdzie matki wróciwszy z wiecu, zapowiedziały surowo domownikom, że odtąd w domu rozbrzmiewać ma tylko polska mowa, a „muter“ i „faterek“ *) znikną chyba całkiem z języka naszego ludu.

Z pewnej strony wyrażono żal, że na wiecu nie omawiano także innych spraw, nasze społeczeństwo obchodzących, jak: sprawy ekonomiczne i sprawy, dotyczące szerzenia wstrzemięźliwości. Powiedziano nawet, że „tę lukę w obradach żywo odczuwano na wiecu“.

Zdaje nam się, że to za wiele powiedziane. Ogół i ich uczucie pochłonęły całkowicie te sprawy, o których mówiono. Czy wrażenie i skutek byłyby równie wielkie, gdyby uwagę słuchaczek rozpraszano na różne sprawy, to wielkie pytanie.

Nie przeczymy, że dużo jest jeszcze spraw ważnych, a nawet palących, które niewiasty nasze znać i zrozumieć i dla których pracować powinny, ale przecież „nie ostatnie już słońce zachodzi“.

Po tak znakomicie udanym pierwszym wiecu, ludzie dobrej woli i gorącego serca niewątpliwie urządzać będą dalsze wiece, gdzie i inne nasze sprawy znajdą się na porządku dziennym.

Dla takiej dalszej a zbożnej pracy my z całego serca wołamy „Szczęść Boże“.



Do słonka.

Ażebyś ty jasne słonko wiedziało,
Co na ziemi głodnych sierót zostało,
Dłużejby twa jasna tarcza świeciła,
Żeby ziemia więcej chleba rodziła.

Ażebyś ty jasne słonko wiedziało,
Co na ziemi łez niedoli zostało,
Dłużejbyś ty jasne słonko świeciło,
Łzy niedoli i niewoli wypiło.

Ażebyś ty jasne słonko wiedziało,
Co na ziemi smutnych ludzi zostało,
Dłużejbyś ty jasne słonko świeciło,
Smutnych ludzi swą jasnością cieszyło.

*) Matka i ojciec.

Ażebyś ty jasne słonko wiedziało,
Co na ziemi niewolników zostało,
Takbyś długo, jasne słonko świeciło,
Ażbyś pęta niewolnicze skruszyło.

Ażebyś ty jasne słonko wiedziało,
Co na ziemi błędnych ludzi zostało,
Dłużejbyś ty jasne słonko pałało,
Żeby wszystko prawą drogę poznało.

Ażebyś ty jasne słonko wiedziało,
Wielu jeszcze twych promieni nie znało,
Dłużejbyś ty jasne słonko pałało,
W każden kącik, okieneczko zajrzało.

Ażebyś ty jasne słonko wiedziało,
Co na ziemi zbrodni, złości zostało,
Więcejbyś ty jasne słonko nie wzeszło,
Gdzie świat lepszy, lepsi ludzie odeszło...

Benczyn, 17 stycznia 1904 r.

Jantek z Bugaja.



BAWEŁNA.

(Notatka domowo gospodarska).

Wobec wielkiego rozpowszechnienia płócienek, perkali i wogóle wyrobów bawełnianych, które z ogromną szkodą dla naszego swojskiego przemysłu wypierają wiejskie płótna lniane i konopne, godną zastanowienia jest rzeczą, co to jest bawełna i jak znaczną drogę ona odbywa, zanim jako tkanina dostanie się w nasze ręce na bieliznę i odzież.

Bawełna nie rośnie w naszym kraju, ale pochodzi z dalekiego wschodu, z Azyi. Udaje się szczególniej w Indyach wschodnich i zachodnich, tudzież w Egipcie w Afryce. Jest to albo drzewo, albo krzew. Ale wyroby z krzewu bawełny są bez porównania lepsze, niż wyroby z drzewa bawełnianego. Bawełna wyrasta w drzewo tylko w stanie dzikim, to jest tam, gdzie o jej uprawę wcale się nie troszczą. W wielkiej obfitości natomiast rosną krzewy bawełny w tych krajach, w których uprawa tej rośliny jest jedną z głównych gałęzi przemysłu, a zarazem źródłem dobrobytu mieszkańców. Włos krzewu bawełny jest jedwabisty i silny, włos drzewa bawełnianiego zaś słaby i nie bardzo ponętny. Z włosu bawełny wyrabiane bywają materye, a nie z włókien, jak to jest np. przy lnie i konopiach.

Włosy bawełny są miękkie i długie, a obrastają one czarniawe ziarnka, zamknięte w torebkach. Torebki te podobne są do owocu orzecha włoskiego; mają jednakową z nim wielkość i są także owocem bawełny. W torebkach bywa pięć do ośmiu ziarnek. Kwiat bawełny jest żółty, jak kwiat malwy lub ślazu.

Włos, przeznaczony na wyrób materyj bawełnianych, nazywa sie pospolicie kutnerem. Oddzielenie kutneru od ziarna nie jest rzeczą łatwą za pomocą rąk Trzeba i wiele czasu przytem stracić i dość się namęczyć a mimo to korzyść będzie mała Za pomocą stosownych narządów postępuje także obieranie bez porównania raźniej. Skoro torebki po dojrzeniu, albo same się otworzą, albo skoro się je rozbije, zerwawszy, zbiera się je do koszów i zawozi do młyna, który jest w tym celu urządzony. W młynie lub w innych ododpowiednich maszynach oddziela się kutner od ziarna. Odłączone włosy bawełny układa się i porządkuje należycie, a oczyszczone z nich nasienie zostawia się częściowo na zasiew, w większej części wszelako wyciskają z niego olej, używany na smarowidło.

Bawełna, jak wspomnieliśmy, przynosi znaczny dochód mieszkańcom tych krajów, w których bywa uprawiana. Dochód ten głównie płynie z krajów europejskich, które bawełnę sprowadzają w wielkich ilościach. Ale włosy bawałny po obraniu nie są wszystkie w równej mierze dobre; hodowcy bawełny więc dobierają kutner według jakości do siebie, a ułożywszy go tym sposobem w zwoje czyli wałki, ściskają, ugniatają, okrywają płótnem i w takich zwojach dopiero odsyłają do Europy na zamówienia.

Po nadejściu do krajów europejskich zwoje bywają rozkładane i w warsztatach oczyszczane z kurzu i wszelkich niepotrzebnych przymieszek, a następnie za pomocą odpowiedniej maszyny zwijane, jak wata, na wałki. Włókno tych wałków prostuje się na innej maszynie i jeszcze raz wywabia się z nich nieczystości, jakie pozostały. Kutner nabiera teraz podobieństwa do pięknej, delikatnej wełny. Z tego dopiero materyału na odpowiedniej maszynie wyciąga się niejako wstążki, które coraz więcej się wydłużają, aż wreszcie w przędzalni przerabiają je na nici, a z nici w warsztatach tkackich robią płótna.

Bawełnę znano już od niepamiętnych czasów. Ale jej uprawą zajmowali się prawie wyłącznie Chińczycy, tudzież mieszkańcy krajów gorących, w których ona szczególniej się

udaje. W Europie przędza bawełny rozpowszechniła się na większą skalę dopiero w drugiej połowie ubiegłego stulecia, kiedy w ślad za tańszym przywozem za pośrednictwem okrętów parowych i kolei, wynaleziono różne maszyny do przędzenia, w których nawet z takich odpadków przędzie się nici, jakie dawniej za nieużytki uważano.

Pomiędzy różnymi gatunkami bawełny, które sprowadza się do Europy i przerabia, szczególniejszą dobrocią zalecają się: amerykańska, egipska i indyjsko-wschodnia. Przędzalnie dla tych gatunków są w znacznej liczbie także w Austryi.

Materye bawełniane odznaczają się rozmiarem i taniością, są też lekkie i wygodne, a zastępują do pewnego stopnia płótno i wełnę, a nawet jedwab, do którego w pewnych razach są łudząco podobne; dlatego też żydzi częstokroć sprzedają płócienka bawełniane za materye jedwabne, a są tacy niestety, co, chciwiąc się na jedwab, dają się oszukać i przepłacają często liche wyroby bawełniane.

Nazwy materyj bawełnianych są różne. Najpospolitsze z nich są: perkal, ryps, muślin, tiul, katun, szyrtyng, nanking, satyna, barchan, pika, manszester, aksamit bawełniany i t. d.

Jan Świątek.

Do Górnoślązaczek!

Gdy ci smutek serce tłoczy
I łza bólu oko mroczy,
Gdy cię prześladuje wróg,
Pospiesz, siostro, do Krakowa,
Tam swobodna nasza mowa,
Tam cię wzywa Bóg.
Idź przy świętym Stanisławie
Wypowiedzieć swoje żale,
Bo on Patron nasz,
On za nami Stwórcę prosi
I nadzieją ducha wznosi,
Więc tam ulgę masz.
A z kościoła pospiesz prosto
Do „Czytelni kobiet“ *), siostro,
Bo tam dla serc raj,
Tam cię przyjmą jako swoją,
Najrodzeńszą. Tam nasycą i napoją,
W duszę wleją maj,
I obejmą w swe ramiona,
Żeś jest jakby odrodzona.
I nie ciąży ci już trud,
Tam pouczą, żeś nie sama,
Opuszczona, zaprzedana,
Żeśmy wielki, liczny naród.
Że gdy kochać się będziemy
I jak jeden mąż staniemy,
Bóg poczyni cud —
I wesprze nas i wyzwoli
Z kajdan, więzów i z niewoli,
Wierny polski lud.
Za to bratnie nas przyjęcie,
Za wzbudzoną wiarę wcześnie,
Dzięki ślemy wam —
I wytrwale przyrzekamy,
Zniemczyć nigdy się nie damy,
Bóg pomoże nam!

Jedna za wszystkie, które były w Krakowie na Zielone Świątki ze Zabrza.

*) Jagiellońska 5.



GOSPODARSTWO.

Pękanie kopyt u koni.

Pęknięte kopyto trzeba obłożyć wilgotną gliną, żeby zmiękło, potem niech dobry kowal róg pęknięty zeszyje. Gdy to będzie już zrobione, obłożyć znowu kopyto gliną i wolno konia przeprowadzać. Ażeby znów róg dalej nie pękał, trzeba go nacierać maścią, zrobioną z gutaperki z olejem. Można do tego użyć gumy ze starego kalosza. Maść ta będzie odwilżać kopyto i ono nie będzie pękać.

O wychowaniu indyków.

Z wszystkiego drobiu domowego najtrudniejsze są do wychowania indyki. Małe indyczątka trzeba trzymać w ciepłem miejscu, i nadzwyczajnej czystości. Karmić z początku kilka dni siekanem jajkiem gotowanem na twardo, po kilku dniach można jajko mieszać z krwawnikiem, siekanym na drobno. Lubią także indyki kaszę jęczmienną, na słodkiem mleku gotowaną i zmieszaną z krwawnikiem, ale codzień gotować świeżą, żeby nie zakisła; bo indyczęta jak zaczną na żołądek chorować, to je już trudno wychować; wtenczas daje się im połykać po ziarnku białego pieprzu, maczanego w oliwie.

Brak apetytu u świń.

Zdarza się często, że świnia jeść nie chce i zamiast tuczyć się, chudnie. Brak apetytu nie jest chorobą, ale występuje także i przy różnych chorobach; trzeba więc wyszukać przyczyny. Świnie tracą niekiedy apetyt, gdy przez dłuższy czas dostają jedną i tę samą karmę, czują w końcu do niej wstręt i jeść nie chcą. W takim razie trzeba karmę zmienić, zastąpić inną. Brak apetytu występuje także, gdy się za dużo naraz karmu daje, więc następuje przeładowanie żołądka i jeść nie chce. W takim wypadku trzeba dać świni na wymioty, kupując proszek taki, jak dla ludzi w aptece, zmieszać z odrobiną mleka i dać wypić. Również występuje brak chęci do jadła z nadto gorących pokarmów; zwierzę parzy sobie pysk i żołądek, trzeba bardzo uważać, żeby pasza była zawsze należycie ochłódzona. Czystość zaleca się zawsze, naczynie, w którem świnie jadają, powinno być często wymyte, nigdy karm z jednego dnia na drugi żeby nie zostawał, bo się zakwasza, a świnie tracą apetyt do jedzenia. W chlewie także powinno być czysto i sucho, nawóz często wyrzucany i świeżą ścielą zastąpiony. Bardzo jest dobrze, żeby świnie choć raz w tydzień wymyć, rozumie się letnią porą, bo czystość każdemu stworzeniu do zdrowia i rozwoju jest potrzebną.

Praktyczne wskazówki przy hodowli świń.

Hodowanie świń wogóle jest bardzo ważną gałęzią gospodarstwa, a szczególnie w gospodarstwach mniejszych, u zagrodników, którzy nie mogą krowy uchować, świnia zjada wszystkie odpadki gospodarcze, a także daje trochę nawozu.

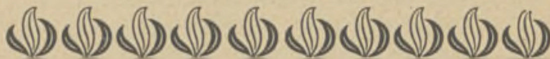
W ostatnich czasach hodowla świń cokolwiek się zmniejszyła z powodu różnych chorób, których przyczyna przeważnie zależy od czystości utrzymania świń. Przyczynia się także do tego nieumiejętne karmienie świń, dając im pokarm zbyt rzadki z ziarnem mielonem na mąkę, a to jest bardzo zły sposób.

Doświadczenie i badania naukowe wykazały, że natura dała świniom silnie rozwinięte szczęki, mocne zęby, którymi powinny karm pogryźć, a wyrobiona przez gryzienie ślina, służy im do lepszego trawienia.

Jeżeli od młodości daje się prosiętom pokarm w stanie płynnym, to one nie wyrabiają sobie silnych szczęk i chociaż później dostają całe ziarno, to już nie mogą dobrze je pogryźć i pożuć, i z tego powodu pokarm ten idzie na marne, zwierzę się nie tuczy, a gospodarz ma stratę. Maciora przy oproszeniu powinna dawać 8—10 prosiąt, inaczej chować jej nie warto. Prosiętom czyli samiczkom, które są przeznaczone, powinno się przez dłuższy czas, to jest do 6 tygodni dawać mleko, jeżeliby już matki ssać nie mogły, a będą silniejsze.

Drzewa owocowe.

Często się zdarza, iż drzewa owocowe chociaż są młode i ładnie wyrośnięte, a nie rodzą wcale lub bardzo mało. To dowodzi, że ziemia pod niemi jest źle uprawiona i potrzebuje zasilenia. W tej odległości jak się kończy korona drzewa, trzeba wykopać rowek naokoło w kształcie pierścienia, szeroki na jedną łopatkę, a na dwie łopatki głęboki, i włożyć do niego dobrego krowianego nawozu, nie słomiastego, ale świeżego krowieńca i od czasu do czasu nalać parę konewek gnojówki. Jeżeli deszcze częste przechodzą, to nie trzeba podlewać, a deszcz już sam nawóz rozpuści i drzewa rodzić będą. Jeżeli drzewo stare nie rodzi, a puszcza młode gałązki, to znaczy, że jeszcze może rodzić, ale korzenie nie mają odpowiednich soków, natenczas trzeba naokoło drzewa o metr w oddaleniu od pnia odkopać ziemię tak, żeby tylko cienka warstwa korzenie pokrywała tak daleko, jak korona drzewa sięga; porobić potem otwory grubym kołkiem drewnianym w różnych miejscach naokoło drzewa i w nie wlewać gnojówkę. Tak można robić od lipca do października; na zimę grubiej przysypać ziemią, żeby korzenie nie pomarzły, a na drugi rok drzewo zasilone pewno owoc wyda.



ROZMAITOŚCI.

Poeta ludowy na Śląsku. W Świnnicy zmarł niedawno 23-letni młodzieniec, Michał Skrzypczak, rodem z Chrośnic na Górnym Śląsku, który miał niepośledni talent poetycki i utwory swe zamieszczał w *Gazecie Opolskiej* i *Gońcu Niedzielnym* podpisując się „Zawsze Polak“ lub „Chrościczanin“. Skrzypczak pisał również nowelki, obrazki i artykuły, a we wszystkich tych utworach zaznaczał mocny i szczery swój patryotyzm polski.

Wśród jego utworów poetyckich spotykamy między innymi taki wiersz:

„My wszyscy pragniem odrodzenia cudu
Znękanej braci, rozbitego ludu;
Więc żwawo naprzód moi bracia mili,
Wy, coście się już do życia ocknęli,
Pracujmy wszyscy i nadal gorliwie
Szerząc oświatę na ojczystej niwie.
Podnieśmy w górę zdeptane sztandary
Ludu polskiego, jego świętej wiary“.

W jednym z artykułów swoich Skrzypczak pisze: „Wyrzeczmy się raz na zawsze tego starego błędu, pokutującego wśród narodu polskiego, tego oglądania się na pomoc z innej strony. Polegajmy głównie na własnych siłach, bo to nas najdalej zaprowadzi. Gdy goreje dom to nikt chyba nie będzie prac ratunkowych odwlekał, aż przyjdzie sikawka i zbierze się gromada ludzi, ale on sam, chociażby z narażeniem własnego życia, będzie ratował zawczasu, co się da!“

Takie właśnie osoby jak Skrzypczak, który był dzieckiem śląskiego ludu, wśród niego wzrósł, z pojęć i pragnień jego natchnienie czerpał, są najlepszym dowodem niedorzeczności twierdzeń Niemców, którzy utrzymują, że Ślązacy nie poczuwają się do patryotyzmu polskiego, że został on im zaszczepiony sztucznie.

Wystawa w Kosowie. Oddział pokucki Towarzystwa gospodarskiego urządza 20 czerwca b. r. w Kosowie przeglądową wystawę bydła i koni typu huculskiego, a miejscowy wydział powiatowy łączy z tą wystawą także wystawę wyrobów huculskiego przemysłu domowego. Będą więc na tej wystawie uwzględnione działy wyrobów tkackich i kilimarskich, garncarskich, kuśnierskich, drewnianych, mosiężnych i robót kobiecych. Nadto będzie uwzględniony także dział etnograficzny, tudzież wyrobów win owocowych.

Żegluga na Wiśle. Rok bieżący pozostanie pamiętnym, jako rok ciekawego zjawiska, któro od całego wieku*) się nie wydarzyło: tak niskiego stanu wody na Wiśle, że ustała wszelka żegluga. Stan wody wynosił onegdaj 1·97 m. poniżej zera, czyli przeciętna głębokość wody w korycie, nie biorąc w rachubę dołów, wynosi 45 do 56 ctm. Wskutek tego stanąć musiały nawet płytkie galary, dowożące węgiel, a zarazem galary, dowożące kamień i inny potrzebny materyał do obwałowania brzegów Wisły. Strata to ciężka dla trudniących się spławem węgli i dostawą kamieni; muszą opłacać zgodzonych na cały okres letni ludzi, musieli ponieść przygotowawcze wydatki, a dzisiaj, wobec niespodziewanego i niepamiętanego zjawiska, narażeni są na utratę zarobku i koszta. Jak się dowiadujemy, komisya międzynarodowa dla regulacyi Wisły, która wyruszyła stąd na czterech statkach parowych w dół rzeki, ugrzęzła po drodze na mieliźnie z powodu niskiego stanu wody i nie mogła ruszyć naprzód, ani powrócić do Krakowa. Komisya miała dotrzeć do Nadbrzezia i Sandomierza, a następnie puścić się Sanem do góry; plany owe na razie spełzły na niczem i kto wie, czy komisya zamiast wodą, nie będzie zmuszona powrócić do Krakowa na kołach. Przyczyną tak niezwykle niskiego, od wieku niepamiętanego niskiego stanu wody, tłomaczą ludzie doświadczeni wielkimi opadami zeszłorocznymi w lipcu i brakiem w zimie opadów śnieżnych w górach. Nie brak proroków, którzy twierdzą, że taki niski stan wody poprzedza zwykle większe opady w czerwcu i lipcu. Inni zaś powiadają, że zeszłego roku zaszło przesilenie w nadmiernych opadach lipcowych i po latach ulewnych i mokrych, doczekamy się obecnie lat z mniejszemi opadami.

*) 100 lat nazywamy wiekiem.

Pożar w Delatynie. Z Delatyna donoszą: Kiedyś o godzinie 2 po południu wybuchł tu w Rynku pożar, który wskutek wielkiego wichru bardzo szybko rozszerzył się na całe śródmieście. Spłonęło 200 domów. 500 rodzin bez dachu. Spalił się urząd gminny, zarząd lasowy, bóżnica, propinacya i wiele sklepów z wiktuałami. Pożar zdołano umiejscowić*) dopiero o godzinie 6 wieczorem. Szkodę oceniają mniej więcej na pół miliona koron.

Prezydyum namiestnictwa na wiadomość o pożarze Delatyna wysłało 2000 koron tytułem doraźne zapomogi.

Trzecia część miasta spłonęła. Około 2000 ludzi, izraelitów, bez dachu i chleba. Urzędy ocalone, tylko zarząd skarbowy spłonął.

Pożary. We wsi Kupiczwole, pod Mostami wielkimi, spaliła się chmielarnia, wartości kilku tysięcy koron. Ogień był prawdopodobnie podłożony.

— W Przeciszowie, w pow. wadowickim, pożar zniszczył cztery zagrody włościańskie, wyrządzając szkodę na przeszło 7000 koron.

— W Wołczkowcach, w pow. śniatyńskim, pastwą płomieni padło trzy zagrody włościańskie. Szkoda wynosi przeszło 1000 koron i nie była ubezpieczoną. Przypuszczają, iż ogień wzniecila iskra, wyrzucona z lokomotywy, gdyż pożar wybuchł w chacie, położonej tuż obok toru kolejowego.

— Przed kilku dniami w czasie burzy uderzył piorun w budynek mieszkalny Łucia Senyka w Bobrownikach w pow. buczackim i wzniecił pożar, który zniszczył budynek ten doszczętnie. W pożarze Senyk, który spał w chacie pod oknem, odniósł ciężkie poparzenie.

— Na folwarku Świdowa koło Wołczkowa, w pow. stanisławowskim, wybuchł w nocy pożar, który zniszczył stajnię dworską wraz ze znajdującemi się w niej 18 końmi, 16 krowami i 9 sztukami jałownika. W płomieniach zginął także 22-letni sługa dworski, głuchoniemy, Michał Grochalski.

*) Stłumić.

— We wsi Rzeczycy koło Uhnowa, zniszczył pożar 36 zabudowań gospodarskich.

— Z Podkamienia koło Brodów donoszą: W sąsiedniej gminie Maliniska zniszczył pożar, powstały wskutek nieostrożnego bawienia się dzieci ogniem, 15 gospodarstw. W płomieniach znalazło śmierć trzyletnie dziecko gospodarza Skibickiego. Szkoda, wynosząca około 80000 koron, była częściowo ubezpieczoną w krakowskiem Tow. wzaj. ubezpieczeń.

Burze i gradobicia w Niemczech. Z Sztutgardu donoszą, że w całej okolicy szalało gradobicie i wyrządziło ogromne szkody w winnicach. Wskutek podmycia wałów kolejowych w części wstrzymano ruch kolejowy. Z całej Turyngii donoszą o ogromnych szkodach, wyrządzonych przez gradobicie i burze.

PYTANIA I ODPOWIEDZI.

Opis obrazka, w tym numerze załączonego, podamy w numerze na lipiec.

Uprawa pod jarzyny na gruntach ciężkich. Grunta ciężkie, spoiste, lepiej niż grunta lekkie zatrzymują w sobie wilgoć. Uprawiając grunt ciężki pod jarzynę, mniej mamy na uwadze zatrzymanie w nim wilgoci, powinno zaś głównie chodzić o to, aby grunt tak w jesieni przygotować, iżby z wiosną był dostatecznie pulchny i zdatny do zasiania roślin. W tym celu ziemię ciężką spulchnia się częściej i głębiej, niż ziemię lekką. Dwie jesienne orki po roślinach kłosowych (z tych pierwsza płytka, druga głęboka) są tu prawie konieczne. Wszędzie powtórna orka powinna być tak wykona, aby rola mogła dostatecznie przemarznąć. Pogłębiać należy bardzo ostrożnie, aby za dużo surowicy na wierzch nie wydobyć. Jeżeli na ciężkim gruncie wydobędziemy calową lub grubszą warstewkę świeżej nierozłożonej ziemi, to będzie to bardzo szkodliwe dla zbóż jarych kłosowych, gdyż w takim razie powierzchnia podczas deszczu łatwo staje się mazistą a na słońcu twardnieje, czyli zaskorupia się i tamuje wschodzenie roślin oraz dalszy ich rozwój.

Oprócz tego rola jesienią zbytnio pogłębiona, na wiosnę wolno obsycha. Należy zwracać wielką uwagę na to, aby im grunt jest cięższy, tem prędzej doprowadzić go do przeschnięcia na wiosnę i obsiać go, o ile można tylko, najwcześniej. W tym celu nie dopuszcza się do tworzenia na polu kałuż oraz do zatrzymywania w bruzdach wody. która powinna mieć wolny odpływ.

Jeżeli ciężki grunt był wystawiony w skibach na działanie tęgich mrozów, wtedy po spłynięciu wód śniegowych i powierzchowem obeschnięciu z łatwością powinien rozpaść się na proszek; w tym ostatnim wypadku po parokrotnem przejściu bronami na wiosnę możemy już siać, nie używając nawet drapaczy; a jeżeli uda nam się przykryć zasiew, zanim deszcz spadnie, mamy prawo spodziewać się równego wzejścia i dobrego plonu. Im pierwej i równiej nasienie wschodzi, tem prędzej roślinność oceni a zatem i ochroni grunt od nadmiernej wilgoci z jednej strony i suszy z drugiej strony.

Kwiat siarczany jako środek niszczący wszy u kur. Nawiedzoną pasożytami kurę trzyma się w rękach i w tych miejscach. gdzie pasożyty najwięcej mogą się przechowywać, podmuchuje się pierze i zasypuje się proszek kwiatu siarczanego. Posypuje się nim również cokolwiek podłogę w kurnikach. Robactwo wypada w takim razie z pierza na podłogę, a kury zjadają je wraz z siarką. bez najmniejszej szkody na zdrowiu. Jednorazowe obsypanie na wiosnę w ten sposób drobiu wystarcza na kilka miesięcy, jako środek ochronny przeciwko owadom.

Jako bardzo skuteczne straszydło na ptaki polecają zawiesić na drzewach na włosieniu kawałek dużego korka, w którego przeciwległych końcach wtyka się po kawałku lusterka. W środek między lusterkami zatyka się pióro ptasie. Korek ten błyszczący z daleka, a poruszany wiatrem. ma wzbudzać wielki respekt w szkodnikach.

* * * * * * * * * * * * * * * * * * *

UPRASZA SIĘ WSZYSTKICH P.T. LUDZI

dobrej woli, a szczególniej Pp. Naczelników gmin i Pisarzy gminnych, aby poczynili poszukiwania za staremi księgami gromadzkiemi z XV., XVI., XVII., XVIII. i z pierwszej połowy XIX. stulecia, a skoro gdzie takie księgi się znajdują, uwiadomili o tem zapomocą kartki korespondencyjnej p. Jana Świętka (Kraków, Krowodrza 157), któryby dla ich przejrzenia przyjechał potem ne miejsce.

KSIĘGI TE MARNIEJĄ BEZ ŚLADU, SĄ potrzebne do naukowych opisów zwyczajów i urządzeń prawnych z czasów naszych pradziadów.

TYM SPOSOBEM KAŻDA GMINA, w której podobne księgi jeszcze się znajdują, mogłaby się doczytać z drukowanej książki o swojej przeszłości, a ta przeszłość, jak sądzimy, zapewne niejednego zaciekawia.

POŻĄDANE KSIĘGI GROMADZKIE mogą być również zakupione po umiarkowanej cenie, skoroby bezinteresownie nie chciano ich oddać dla dobrej sprawy.

* * * * * * * * * * * * * * * * * * *

Odpowiedzialna redaktorka i wydawczyni: Marya Siedlecka w Krakowie.
Czcionkami drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.

Dodatek do Nru 6 „Przodownicy“ z r. 1904.

WŁADYSŁAW REYMONT.

CHŁOPI.

POWIEŚĆ. — (W skróceniu.)

JESIEŃ.

(Ciąg dalszy.)

Aż Antek zerwał się na równe nogi, nacisnął czapkę i wielkimi krokami poszedł ku wsi.

— Antek! Antek! — wołała za nim żałośnie, ale ani się odwrócił.

Owinęła chłopaka i, popłakując, szła miedzami z powrotem do domu; ciężko jej było na sercu: ani pogadać, ani wyżalić się przed kim na dolę swoją!

Chciała przysiąść do Kuby, koło którego przechodziła, ale przypiął się plecami do brogu i udawał, że śpi, choć mu słońce świeciło prosto w oczy; dopiero gdy zniknęła za węgłem stodoły, podniósł się, otrzepał ze słomy i wolno jął się przebierać pod sadami ku karczmie: paliła go ano ta złotówka.

A karczma stała na końcu wsi, za plebanią, na początku topolowej drogi.

Ludzi było mało co, muzyka czasami pobrzękiwała, ale nikto nie tańcował jeszcze, za rano było, i młodzi woleli gzić się w sadzie, albo wystawać na podjeździe i pod ścianami, gdzie na belkach siedziało sporo dziewczyn i kobiet, a w wielgiej izbie, z czarnym, okopconym pułapem, pusto prawie było.

Kuba poszedł prosto do szynkwasu, za którym siedział Jankiel w jarmułce i w koszuli tylko, bo ciepło było, pogładzał siwą brodę, kiwał się i wyczytywał w książce, przykładając oczy prawie do samych kart.

Kuba się namyślał, przestępował z nogi na nogi, przeliczał pieniądze, podrapywał się po kołtunach i stał tak długo, aż Jankiel spozierał na niego i, nie przestając się kiwać i modlić, brzęknął raz i drugi kieliszkami.

— Półkwaterek ino krzepkiej! — zarządził wreszcie.

Jankiel w milczeniu nalewał i lewą rękę wyciągał po pieniądze.

Kuba usunął się na sam koniec szynkwasu, wypił pierwszy kieliszek, splunął i jął poglądać po karczmie; wypił drugi, przyjrzał się buteleczce pod światło, stuknął nią mocno.

— Dajcie-no drugi i machorki! — rzekł śmielej, bo błoga ciepłość go przejęła po gorzałce i dziwna moc rozlała mu się po kościach.

— Zarobiliście w lesie?... — pytał Jankiel.

— Nie w lesie.. Ptaszków, com je w sidła chycił, zaniesłem dobrodziejowi sześć i dali mi złotówkę.

— Złotówkę za sześć! Jabym za każdego dał Kubie dziesiątkę.

— Jakże, przeciech kuropatwy to nie koszerne? — zdumiał się.

— Niech Kuby o to głowa nie boli... niech tylko przyniesie dużo, a za każdą dostanie zaraz do ręki po dziesiątce. Asencyę postawię na zgodę, co?...

— I po całym dziesiątku Jankiel zapłaci?...

— Moje słowo nie ten wiatr! A za te sześć... to Kuba miałby nie dwa półkwaterki czystej, a cztery z arakiem, i śledzia, i bułkę, i paczkę machorki... rozumie Kuba?...

— Juści.. cztery półkwaterki z arakiem i śledzia... i... juści nie bydle-m przeciech, to miarkuję... Rychtyk prawda! Cztery półkwaterki z harakiem... i machorka, i bułków... i całego śledzia... — mroczyła go już wódka i nieco rozbierała.

— Przyniesie Kuba?...

— Cztery półkwaterki... i śledź... i... Przyniese... Cie, żebym to miał strzelbę... — ozwał się przytomniej.

Jankiel szepnął mu cicho do ucha:

— Zastrzeliłby Kuba sarnę?

— Ale! z pięści nie zastrzeli, a z fuzyi tobym juchę i ustrzelił.

— Kuba umie strzelić?...

— Jankiel jest Żyd, to i nie wie, a we wsi wiedzą wszystkie, że chodziłem z dziedzicami do boru, że mi i ten kulas przestrzelili... to umieć umiem

— Ja dam strzelbę, dam proch, dam co potrzeba... a Kuba co ustrzeli, przyniesie do mnie! Za sarnę dam całego rubla... słyszy?... całego rubla! Za proch Kuba zapłaci piętnaście kopiejek od sztuki, odtrącę... A za to, co się fuzya będzie psuć, to Kuba przyniesie ćwiartkę owsa...

— Owsa?... Przeciech koniom od pyska nie odejmę...

— Po co brać koniom! U Boryny jest i gdzieindziej...

— To niby... — wytrzeszczał oczy i kalkulował.

— Wszystkie tak robią! A Kuba myślał,

skąd parobcy mają pieniądze?... Każdemu trzeba machorki, a kieliszka wódki, a potańcować w niedzielę!... To skąd wziąć!...

— Jakże... złodziej to jestem, parchu jeden, czy co?... — zagrzmiał nagle, bijąc pięścią w stół, aż kieliszki podskoczyły.

— Co się Kuba rzuci! Niech Kuba płaci i idzie sobie do dyabła!

Ale Kuba nie zapłacił i nie poszedł, nie miał już pieniędzy i winien był Żydowi... to się ino sparł ciężko o szynkwas i jął sennie obliczać, a Jankiel udobruchał się i raz jeszcze nalał mu, ale już czystego araku... i nic nie mówił.

Tymczasem do karczmy napływało coraz więcej ludzi, bo już mrok gęstniał, zapalili światło, muzyka raźniej się ozwała, i gwar się podnosił, naród kupił się przy szynkwasie, pod ścianami, albo i zgoła w pośrodku izby, i rail, pogadywał, użalał się, a kto niekto i przepijał do drugiego, ale zrzadka, bo nie na pijaństwo przyszli, jeno tak sobie, po sąsiedzku postać, pogwarzyć, skrzypiec posłuchać, abo i basów, coś niecoś posłyszeć nowego; niedziela przeciech, to odpocząć, ni folgę dać ciekawości, nie grzech, a choćby i ten kieliszek wypić wypić z kumami... byle przystojnie i bez obrazy boskiej się obyć obyło, to i sam dobrodziej nie bronił...

Niewiela ludzi tańcowało, ale tak ostro przytupywali, aże dyle podłogi skrzypiały i stół dygotał, że raz w raz flaszki pobrzękiwały i wywracały się kieliszki.

Ale ochoty wielkiej nie było, bo i okazyi, jako to przy weselach bywa, abo i zrękowinach, nie było. Tańcowali ot tak sobie, dla uciechy jednej, abo dla wyprostowania nóg i grzbietów; tylko chłopaki, co mieli późną jesienią do wojska stawać, zabawiali się mocniej i pili na frasunek, co i nie dziwota.

Lampa wisiała u czarnego pułapu i mdłem, żółtawem światłem rozjaśniała powichrzone głowy. Kilka młodych gospodarzy siedzieli dokoła stołu, wsparli się mocno na rękach i wszyscy oczy utkwili w kowala, któren, pochylony nad stołem, czerwony, rozkładał szeroko ręce, czasem bił pięścią i gadał z cicha:

— Prawdę mówię, bo tak stoi w gazecie wypisane, wyraźnie jak wół... Nie tak ludzie żyją we świecie, jak u nas, nie! Co jest? Dziedzic ci panuje, ksiądz ci panuje, urzędnik ci panuje, a ty ino rób, a z głodu zdychaj, i każdemu się nizko kłaniaj, żebyś po łbie nie oberwał.

— A grontu mało, że niezadługo to i po zagonie na człowieka nie starczy!

— A dziedzic ma sam więcej, niż dwie wsie razem...

— Powiadali wczoraj na sądach, że nadawać będą nowe grunta, ukazowym.

— Jakie?

— Czyjeżby?... a dworskie!

— Ale! daliśta dziedzicowi, to je odbierać będzieta! Ale! cudzem cię już rządzą! — krzyknęła Jagustynka, nachylając się do nich ze śmiechem.

— ..i sami się rządzą — ciągnął dalej kowal, nie zważając na babie powiedzenie — a wszyscy we szkołach się uczą, we dworach mieszkają i panami są...

— Gdzie to tak? — zapytała Jagustynka, która zaraz skraju siedziała.

— W ciepłych krajach! — odrzucił.

— To kiej tak dobrze, czemuż to kowal tam nie pojechał, co?... Smoluch jucha łży, ten pies i tumani, a wy głupie wierzyta! — zawołała namiętnie.

— Mówię po dobremu: idźcie sobie, Jagustynko, skądeście przyszli.

— A nie pójdę! Karczma la wszystkich, a ja taka dobra za swoje trzy grosze, jak i ty! Ale! nauczyciel jaki, Żydom się wysługuje, o staje czapkę przed dziedzicem zdejmuje, a te mu wierzą! Pyskacz jeden! Wiem ja...

Ale już nie skończyła, bo ją kowal krzepko ujął pod żebra, nogą otworzył drzwi i wyrzucił do wielkiej izby, że padła jak długa w pośrodku.

Nie pomstowała nawet, tylko, powstawszy, rzekła wesoło:

— Krzepki jucha kiej koń, zdałby mi się taki na chłopa...

Naród gruchnął śmiechem, a ona wyszła zaraz, pomstując zcicha.

Ale już i karczma pustoszała, muzyka zmilkła, ludzie się rozchodzili do domów, to stawali kupkami przed karczmą, bo to i wieczór był ciepły i jasny, księżyc świecił, tylko rekruci jeszcze stali i pili na umor i wykrzykiwali, a Jambroży spity jako to bydlę, wylazł na środek drogi i wyśpiewywał, taczając się ze strony na stronę.

Kuba tylko spał wciąż w popiele tak krzepko, aż go Jankiel budzić musiał, ale parobek wstać nie chciał, kopał, to grzmocił w powietrzu i mruczał:

— Pódzi, Żydzie! Jak chcę, tak spał będę... gospodarz jestem, to wolę swoją mam, a tyś żółtek i parch!...

Wiadro wody pomogło, że wstał i wytrzeźwiał nieco, jeno ze strachem i zdumieniem

słuchał, jako całego rubla przepił, którego winien jest...

Mruczał, idąc ku domowi, i jął sobie przypominać i kalkulować, bo nijak nie chciało mu się w głowie pomieścić, że całego rubla przepił... ale że jeszcze nie wytrzeźwiał i powietrze go rozebrało, to potaczał się ździebko, a raz w raz właził na płoty i klął.

Wreszcie chyciło się go rozeznanie i żałość taka, aż przystanął, chwycił się za kudły i jął się prać po pysku kułakiem i wykrzykiwać:

— Pijanica jesteś i świnia zapowietrzona! Do dobrodzieja cię zawlekę, niech cię wypomni przed całym narodem, żeś pies i pijanica... żeś całego rubla przepił... żeś jako to bydlę, abo i gorzej!... żeś...

I żałość znagła go objęła nad sobą, że przysiadł na drodze i buchnął płaczem.

Jasny, ogromny księżyc płynął w przestrzeniach ciemnych, a gdzieniegdzie, z rzadka kiedy, srebrne gwoździe-gwiazdy błyskały; niezgłębiona cichość nocy jesiennej przejmowała świat, tylko gdzieniegdzie wyrywały się śpiewy wracających z karczmy, albo ujadania psów.

A na drodze przed karczmą Jambroży taczał się ze strony na stronę i śpiewał wciąż nieustannie, aż do wytrzeźwienia:

Da Maryś moja, Maryś! Da komu piwo warzysz?...
Da komu piwo warzysz? Da Maryś moja, Maryś!...

V.

Jesień szła coraz głębsza.

Blade dni wlekły się przez puste, ogłuchłe pola i przymierały w lasach coraz cichsze, coraz bledsze. A co świtanie, dzień wstawał leniwiej, stężały od chłodu i cały w szronach; słońce blade i ciężkie wykwitało z głębin w wieńcach wron i kawek, co się zrywały gdzieś z nad zórz, leciały nizko nad polami i krakały głucho, długo, żałośnie... a za niemi biegł ostry, zimny wiatr, mącił wody stężałe, warzył resztki zieleni i rwał ostatnie liście topolom pochylonym nad drogami, że spływały cicho, niby łzy, krwawe łzy umarłego lata, i padały ciężko na ziemię.

A co świtanie, wsie budziły się później, leniwiej bydło szło na paszę, ciszej skrzypiały wierzeje i ciszej, trwożniej tętniło życie samo, a niekiedy, przed chałupami, abo i w polach widni byli ludzie, jak przystawali nagle i patrzali długo w dal omroczoną, siną.

A co świtanie, mroczniej było i zimniej, i niżej dymy rozsnuwały się po nagich sadach, i więcej ptaków zlatywało do wsi i szukało schronienia po stodołach i brogach, a wrony siadały na kalenicach, to wieszały się na nagich drzewach, lub krążyły nad ziemią, kracząc głucho, jakby pieśń zimy śpiewając żałośną.

Południa były słoneczne, ale martwe i nieme. A smętek konania był w tych południach cichych, a na pustych drogach leżało milczenie.

I często, coraz częściej niebo powlekało się buremi chmurami, że już o letnim podwieczorku musiano schodzić z pól, bo mrok ogarniał świat.

Doorywano podorówki, że niektóry kładł skibę ostatnią już o gęstym mroku, a wracając do domu obzierał się jeszcze za się na rolę i żegnał ją westchnieniem do wiosny.

A na podwieczerze często spadały deszcze, krótkie były jeszcze, ale zimne i coraz częściej przeciągały się do zmroku, w którym płonęły okna chat i szkliły się kałużami puste drogi, a mokra, zimna noc tłukła się o ściany i pojękiwała w sadach.

Nawet ten bociek z przetrąconem skrzydłem, co się był ostał, i którego widywano samotnie brodzącego po łąkach, przychodził jaż pod bróg Boryny, abo i zasie na samo podwórze, gdzie mu Witek skwapliwie podrzucał na przynętę jadło.

A i dziady różne coraz częściej nawiedzały wieś; i te zwyczajne, proszalne, co z torbą głęboką i z pacierzem długim szły od drzwi do drzwi, przeprowadzane ujadaniem piesków, a były i drugie, inne, takie, co od miejsc świętych ciągnęły i znały Ostrą Bramę, Częstochowę i Kalwaryę, a rade opowiadały długiemi wieczorami, co się gdzie we świecie dzieje, i jakie cuda się gdzie stały, a trafiał się niekiedy i taki, któren po cichu powiadał się aż z Ziemi Świętej, i takie cudeńka prawił, takie kraje znał, przez takie wielgachne morza jechał, tyla przygód doznał, że aż dziw ogarniał słuchających pobożnie, a niejednemu i uwierzyć było trudno w to wszystko

Ale chciwie słuchali, jako że każden rad się czegoś nowego dowiedział, a i wieczory były długie i do świtu wyspać się jeszcze można było, choćby i na oba boki.

Hej, jesień to była, późna jesień!

I ani przyśpiewków, ni pokrzyków wesołych, ni tego ptaszków pińkania, ni nawoływania nie słychać było we wsi, nic, jeno ten wiatr pojękujący w strzechach, jeno te dżdże sypiące jakoby szkliwem po szybach, i to głuche, wzmagające się codzień bicie cepów po stodołach.

Jesień to była, rodzona matka zimy.

Ino się tem pokrzepiano, że niema jeszcze pluchy, że drogi nie bardzo rozmiękły, i może wytrzyma pogoda do jarmarku, na któren całe Lipce się wybierały, jakby na odpust jaki.

A jarmark miał być na świętą Kordulę, walny i ostatni już przed Godami, więc się nań wszyscy szykowali należycie.

Już na parę dni przedtem deliberowano po wsi, coby się sprzedało, czy z inwentarza, czy z ziarna, albo też z drobnego przychówku. A że na zimę szło, to i kupować trza było niemało: i z przyodziewku, i ze sprzętów, i z różnych różności gospodarskich, z czego i różne turbacye poszły i swary i kłótnie po chałupach, boć wiadomo przeciech, że u nikogój się nie przelewa, a o grosz gotowy coraz to trudniej.

I u Borynów sposobiono się raźnie; stary z Kubą domłócał pszenicy, a Józka z Hanką, co im ino czasu ostawało, to podpasały maciorę i te gąski wybrane z tych ostawianych na chowanie. Antek zaś z Witkiem, że to lada dzień spodziewano się deszczów, jeździli do boru po susz na ogień i po ściółkę, z której co poszło nad obory, a resztę zwalali pod chałupę do ogacenia ścian.

I tak ta przyśpieszona robota trwała aż do późna w noc ostatnią przed jarmarkiem; dopiero gdy wszystko było przyrządzone na jutro, siedli wszyscy razem do wieczerzy w Borynowej izbie.

Na kominie buzował się wesoły ogień ze świerczyny potrzaskującej ciągiem, a oni jedli wolno i w milczeniu, aż dopiero kiedy skończyli, i gdy już kobiety posprzątali miski i garnki z ławy, Boryna rzekł coś niecoś, przysuwając się do komina:

— Przed świtaniem trza ruszyć!

— Juści, że nie później — odrzekł Antek i zabrał się do smarowania uprzęży.

Kuba strugał bijak do cepów, a Witek obierał kartofle na rano i raz w raz poszturchiwał psa Łapę, któren leżał obok i wybierał sobie pchły zębami.

— Kuba, ostaniesz to w służbie dłużej? co? — spytał Boryna.

Kuba spuścił ośnik, którym strugał, i zapatrzył się w ogień tak długo, aż Boryna mu przypomniał:

— Słyszałeś, com ci rzekł?

— Słyszeć słyszałem, ino tak w głowę zachodzę, że po prawdzie, to krzywdy mi nijakiej u was nie było... Juści, ale ino... — urwał zakłopotany.

— Józia, daj-no gorzałki i co przygryźć: co mamy na sucho redzić, kiej Żydy jakie! — zarządził stary i przysunął przed komin ławkę, na której Józia wnet postawiła butelkę i wianek kiełbasy i chleb.

— Napij się, Kuba, i rzeknij swoje słowo.

— Bóg zapłać gospodarzu... Ostać tobym się ostał, ino... ino...

— Postąpię ci coś niecoś!...

— Przydaćby się przydało, bo to i kożuch zlatuje ze mnie, i buciska też, a i kapot jaki kupiłbym... już jak ten dziadak jaki jest człowiek, że nawet do kościoła iść, to ino do kruchty... bo jakże mi przed ołtarz w takiem obleczeniu?...

— A w niedzielę nie baczyłeś na to, inoś się pchał tam, gdzie najpierwsze... — rzekł surowo Boryna.

— Juści. Hale... Prawda... — bąkał srodze zawstydzony, i ciemny rumieniec oblał mu twarz.

— A to i dobrodziej naucza, żeby szanować starszych. Napij-no się Kuba na zgodę i słuchaj, co-ć rzeknę, a sam se zmiarkujesz, że co parobek, to nie gospodarz... Kużden ma swoje miejsce i la kużdego co innego Pan Jezus wyznaczył. Wyznaczył ci Pan Jezus twoje, to go pilnuj i nie przestępuj, na pierwsze miejsce się nie pchaj i nie wynoś się nad drugie, bo zgrzeszysz ciężko, i sam dobrodziej ci przywtórzy to samo, że tak być musi, bych porządek na świecie był. Miarkujesz se Kuba?

— Nie bydlem przeciech i swoje pomyślenie mam.

— To bacz że, byś się nad drugie nie wynosił.

— I... inom bliżej ołtarza chciał być.

— Pan Jezus z każdego kąta słyszy, nie bój się. I po co się pchać między najpierwsze, kiej wszyscy wiedzą ktoś jest?

— Juści, juści... Gospodarzem byłbym, to i baldach nosićbym nosił, a i dobrodzieja pod pachy wiódł, i w ławkach siadał, i z książki głośno śpiewał... a żem ino parobek, chocia i syn gospodarski, to mi ino w kruchcie stać abo przed drzwiami, jako te pieski — powiedział smutno.

— Takie już na świecie urządzenie jest, i nie twoja głowa zmieni.

— Pewnie, że nie moja, pewnie.

— Napij się jeszcze Kuba i rzeknij: co ci mam zasług dodać?

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Odpowiedzialna redaktorka i wydawczyni **M. Siedlecka.**
W Krakowie — czcionkami drukarni Związkowej, pod zarządem A. Szyjewskiego.